Zeszyt 5. Rok I.

Kwiaty Powieściowe

Lwów 28. Lutego 1886. Tygodnik belletrystyczny. Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie zł. 7·40 — półrocznie zł. 3·70 — kwartalnie zł. 1·85.— Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł. półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 zł. Za granicą 16 marek.

Adres administracji: *Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.* (Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

(Ciąg dalszy.)

VI.

Nazajutrz rano sam Miller pojechał na stację kolei po swą kuzynkę, Minę. Przed wyjazdem obejrzał pokoik przeznaczony dla niej i za parę nieporządków zburczał służącę, nic zresztą nie mówiąc siostrze Joannie, której niechęć ku przybyć mającej Minie była aż nadto widoczną. Świadczyło o tem umeblowanie pokoiku, przeznaczonego dla niej. Był on niewielki, o jednem oknie wychodzącem na podwórze maleńkie, cuchnące, osłonięte dokoła murami. Ciemno też tu było prawie zawsze. Trzeba było dobrze się wychylić i dobrze głowę do góry podnieść, żeby ujrzeć odrobinę, maleńki skrawek nieba. Słońce czasami tylko i to latem na godzinkę zaglądało tam i posyłało kilka promieni w tę cuchnącą otchłań staromiejskiego podwórza. Zresztą z okna żadnego widoku, prócz przeciwległej, brudnej, odrapanej, świecącej ciemnemi cegłami ściany, po której w czasie dni dżdżystych strumieniami ściekała woda deszczowa z rynny zepsutej i dziurawej. Szczyt tej ściany kończył się wysokim kominem, rysującym się w dni pogodne i słoneczne z przedziwną wyrazistością na błękicie nieba. Od wody owej, ciekącej z rynny, porobiły się na ścianie brudne, różnych odcieni smugi, w wielu miejscach poodpadał tynk i cegła szczerzyła swe czerwone zęby. Niekiedy martwy ten, smutny i ponury widok ożywiała para wróbli lub jaskółek, siadających na szczycie komina, kot chodzący ostrożnie po dachu i czyhający na ptaszki. Niekiedy też, jeżeli to kogo zajmować mogło, w braku czego innego, innych widoków, można było obserwować, jak na owym skrawku błękitu niebieskiego, stanowiącego tło ściany i komina, zachodziły różne zmiany. Czasami przesuwały się po nim dalekie gromady wron, czarne i maleńkie jak punkciki, stada jaskółek goniących za robactwem, białe obłoki, fantastycznie zbałwanione i pędzone wiatrem. Ale były to jedyne widoki, ożywiające te posępne mury, jedyne dalsze przestrzenie, jedyne miejsce gdzie wzrok mógł sięgnąć w nieskończoność. Zresztą było tu wszystko smutne, brudne, melancholijne i ograniczone. Z podwórza, jak z piwnicy głębokiej, podnosiły się w górę cuchnące wapory, wilgoć obrzydliwa, przesiąknięta wonią odpadków codziennego życia ludzkiego. W tej wilgotnej, ciężkiej, duszącej atmosferze, w tych ścianach wysokich, nadających podwórzu formę lejka, głos ludzki płynąc w górę, nabierał niezwykłej mocy. Ktoś szepcący na dole, na mokrym bruku dziedzińca, nie spodziewał się, że słowa jego najwyraźniej słychać na pierwszem lub drugiem piętrze.

Pokoik był maleńki, wyklejony starem ciemnozielonem obiciem, nadającem mu jeszcze bardziej ponury i smutny charakter. Nic tu oka młodego rozweselić nie mogło. Ani wielkie, ordynaryjnie rysowane

kielichy z pękami kwiatów na obiciu, ani meble proste, stare, stoczone przez robactwo, ani jakieś czarne obrazki, na których nic widać nie było. Nad oknem zawieszona była maleńka firanka, źle i brzydko się fałdująca; pod oknem stała komoda, na czarno polit urowana, stara, ciężka, niezgrabna i odrapana szkaradnie; w kącie przeciwległym oknu, stało łóżko, także ciemne, sprzęt stary, skrzypiący niemiłosiernie za każdem poruszeniem. Kilka krzeseł i parę czarnych jak noc obrazów uzupełniało umeblowanie tego pokoiku, dziwnie smutnego, przepełnionego ciężką, wilgotną, stęchłą atmosferą.

Nikt tu od dawna nie mieszkał, składano tylko stare, niepotrzebne graty. Ztąd po kątach, pomimo porządków poczynionych przez Katarzynę, bielały wielkie pajęczyny, a powietrze, choć w piecu napalono, było ciężkie i przesiąknięte zgnilizną.

Miller w ogóle okazywał manifestacyjnie wiele zajęcia dla swej przyszłej, nieznanej mu jeszcze kuzynki. Robił on to zresztą po części na złość siostrze i dla okazania, że jest panem domu.

Na dworcu kolejowym zimno było i wietrzno. Wiatr hulał po platformie i pędził przed sobą resztki niezmiecionego przez służbę śniegu. Wiatr szalejąc po dachach obciążonych grubą warstwą śniegu, spychał go w formie deszczu drobnego i kłującego jak szpilkami. Zimno było i smutno, a smutku tego rozpędzić nie mógł niezwyczajny, gorączkowy ruch na dworcu. Spodziewano się co chwila pociągu i służba ubrana w płócienne niebieskie bluzy z blaszanemi numerami na rękawach, tupała nogami i drżała w swych lekkich, motanych przez wiatr odzieniach. Żandarm w hełmie na głowie przechadzał się po peronie poważnie i majestatycznie; w mosiężnych ozdobach jego hełmu, słabe blaski zimowego dnia przeglądały się smutnie.

Wysiadła ona nakoniec z pociągu, który sapał i drżał jeszcze, stając przed dworcem. Wysiadła i obejrzała się trwożliwie dokoła, przestraszona nieco wrzawą i gorączkowym ruchem, panującym na peronie. Ubrana skromnie, ubogo nawet, w swój lekki paltocik sukienny, kapelusik z czarnem piórem, którem wiatr miotał, drżała, trzymając niewielką walizkę podróżną. Koło pięknej jej twarzyczki owinęła się ciemna woalka i cała w tym czarnym swoim stroju, ze swą bladą, mizerną twarzyczką, wyglądała jak wcielenie melancholji i smutku. Jej duże, czarne oczy, sinemi otoczone obwódkami z niepokojem błądziły po tłumie, szukając Millera, którego twarz doskonale zapamiętała z czasów dzieciństwa jeszcze. W końcu poznała go, żwawo i zwinnie przecisnęła się przez tłum i stanęła przed nim.

— To ja, wuju! — rzekła nieco trwożliwie, rumieniąc się i ukazując szereg bielutkich ząbków w rozkosznym uśmiechu.

— Mina! — zawołał głośno Miller, chwytając ją za obie ręce i przyciągając ku sobie. — Tak, to Mina, poznaję cię po rysach twego nieszczęśliwego ojca. No, no! Donnerwetter! wyładniałaś mi. Nigdybym nie poznał w tak pięknej pannie, jaką teraz jesteś, tej małej drobnej dziewczynki z długiemi, chudemi rękami. Ale czegoż my tu stoimy? Zimno, niech djabli wezmą! Chodź, chodź, mam dorożkę. Dajże mi twój kuferek.

I wyrwał jej walizkę i trzymając dziewczynę za rękę, ciągnął przez dworzec ku dorożce, stojącej z drugiej strony na placu.

Szła za nim krokiem drobnym, lekkim, posuwistym, z ciekawością przypatrując się swemu przewodnikowi. Bawiła ją jego wielka barania czapka, trochę już stara i zrudziała, mocno naciśnięta na głowę i czoło, tak, iż tylko z pod kosmyków czapki, zwieszających się trochę na nos, widać było małe, żywe i ruchliwe oczy Millera. Czerwony jego nos, teraz w skutek zimna pokryty ciemno-burakowemi plamami, rozśmieszał ją. Wąski pasek siwiejących włosów otaczających jego podbródek, chwiał się od wiatru. Cała twarz zdradzała wyraźną radość i ogromne zajęcie, które dość zabawnie wyglądało. Stare futro szopowe, żółte i skudłaczone, ciemno-zielonem suknem pokryte, nadawało Millerowi wygląd jakiegoś modnisia z przed pięćdziesięciu laty.

To zajęcie się Millera, ten strój niezwykły, bawił wielce Minę. Szła za nim, tuląc swą drobną rękę w jego wielkiej, zgrubiałej dłoni, a jej duże, czarne oczy, pełne uśmiechu, życia i wesela, ciskały dokoła błyskawice. Koralowe usteczka przygryzała ząbkami złośliwie, nie chcąc się roześmiać głośno. I ten uśmiech tryskający z całej twarzy, dziwnie odbijał od melancholji na niej rozlanej. Twarz ta była blada, mizerna, sina od zimna, a wielkie cienie koło oczów, potęgowały jeszcze wrażenie smutku, wiejącego od Miny.

Przez drogę w ciasnej i odrapanej dorożce zapytywał Minę o jej matkę, ojca, o stan jej majątkowy. Mówiła mu, że nic nie ma, prócz dziesięciu talarów, które jej zostały z dwudziestu wydanych na drogę, że jest bardzo biedna i sama jedna na świecie. Głos jej srebrzysty, pełen smutku i ciepła, milutki jak śpiewka ludowa, chwycił za serce Millera. Stary rozczulił się.

— No, no! — mówił — nie jest to tak źle znowu, jak ci się zdaje. Nie jesteś przecież samotna na świecie, skoro masz mnie. Zostaniesz u mnie. Jestem bogaty, nawet bardzo bogaty i bezdzietny. Cóżby na to świat powiedział, gdybym opuścił sierotę jedynej mej krewnej. Nie smuć się Mina, wszystko będzie dobrze.

Poprawił baraniej czapki na głowie i mówił dalej głośno, chcąc być dosłyszanym wśród turkotu ulicznego:

— Ja ci nawet coś powiem: Wezmę twoje dziesięć talarów na procent. Puszczę je w ruch, w handel i zobaczysz jaki kapitał z tej małej sumy w mych rękach wyrośnie. Nie darmo znają w Warszawie starego Millera, jako jednego z najlepszych finansistów. Będzie ci u nas dobrze. Mieszkamy na Starem-Mieście, wśród średniowiecznych murów. Powiem ci, że one mają swój wdzięk, wdzięk starości kilkuwiekowej. Moja siostra Joanna, której nie znasz wcale, ale o której przecież słyszałaś, jest trochę zimna i surowa z pozoru. Stara panna. Ale nie zrażaj się tą surową powierzchownością. Pod nią kryje się jak najlepsze serce. No, no! już my się tam jakoś urządzimy i będzie nam wszystkim trojgu bardzo dobrze.

Mówił to wszystko, ale czuć było w jego głosie pewną lekką obawę, zapewne przed siostrą, której zachowanie się i słowa wyrzeczone wczoraj na wiadomość o przyjeździe Miny, pamiętał dobrze. Jakkolwiek czuł się panem w domu i był nim w rzeczywistości, jakkolwiek co robił w tej chwili, było wypełnieniem tylko obowiązku, przecież lękał się wojny domowej, której nie lubił, która mogła mu zatruć życie. Ale krzepił się jak mógł i patrzał w czarne, śmiejące się, figlarne oczy dziewczyny, która mu się wydała bardzo piękną i była nią rzeczywiście.

Zajmowało ją wszystko bardzo żywo. Pierwszy raz była w Warszawie i wypytywała się Millera o każdy piękniejszy gmach w mieście, a on dawał jej objaśnienia z miłością człowieka szczerze przywiązanego do miasta. Mina patrzyła na wszystko ciekawie, ścigała namiętnym wzrokiem wystrojone kobiety, idące na ulicach, a niekiedy, gdy jakieś ubranie, jakiś kapelusz bardziej się jej podobały, odwracała się aż w dorożce.

— Co tam tak patrzysz? — pytał Miller.

— Nic. W Warszawie kobiety ładnie się ubierają.

— Ubierają się ładnie? a tak... — odpowiedział, zajęty czem innem.

W końcu przyjechali do domu. Gdy weszli do salonu, dużego, smutnego pokoju, z niewielką ilością światła, które z sinawego nieba z trudnością przedostawało się tu wśród ściśniętych murów staromiejskich, zastali tam już Joannę, oczekującą na nich. Stała wyprostowana jak świeca, w swej czarnej, merynosowej sukni, z głową niczem nie przykrytą, tylko bujnemi zwojami siwiejących już kruczych włosów, z ręką wspartą na poręczy fotelu, jakby gotowa do odparcia zbliżającego niebezpieczeństwa. Jej zawsze surowa twarz, miała teraz jeszcze surowszy niż zwykle wyraz: wąskie usta ściśnięte były rozpaczliwie, jak gdyby nie chciała ani jednego słówka wyrzec, a duże jej poważne i groźne oczy patrzyły szklisto, z lodowatą obojętnością przed siebie. Blade blaski zimowego dnia, przedostające się przez okna, ślizgały się po tej poważnej, o wydatnym biuście, rozrosłych ramionach i żylastych rękach postaci, po wielkim stole przed kanapą, pokrytym zielonym kobiercem ze starożytnego aksamitu, po ścianach białym papierem wyklejonych, po meblach z jasionu, czarnym włosiem krytych. Salon był skromny, po mieszczańsku umeblowany, chłodny i poważny. Oko niczem rozbawić się tu nie mogło, tak wszystko tchnęło jakąś zimną, surową, staroświecką powagą. Na ścianach wisiało kilkanaście większych i mniejszych obrazków kolorowanych, po większej części litografji, przedstawiających różne niemieckie sceny obyczajowe. Nad kanapą tylko mieścił się w złoconych ramach duży olejny portret jakiejś staruszki, o twarzy pomarszczonej i zgrzybiałej, o włosach siwiuteńkich, przykrytych dużym czepcem z czerwonemi wstążkami. Ale jeżeli cała twarz była dziwnie stara i grzybkowata, to oczy duże, czarne świeciły jeszcze niezwykłą mocą, rozumem i surowością. Był to portret matki Millera i Joanny, i ta ostatnia odziedziczyła tę samą surowość i powagę spojrzenia, jakie uderzały z oczów portretu. Zresztą w tym dużym o trzech oknach salonie nic więcej nie było godnego uwagi. Na stole leżało wielkie album do fotografij, starannie okryte w czarnym papierowym futerale. Panował tu wreszcie prawdziwie niemiecki porządek i ład. Nigdzie najmniejszego pyłku, najdrobniejszego nieładu. Wszystko stało i leżało na swych od dawna wyznaczonych miejscach, nieruszane i oczyszczone. Nadawało to całości dziwnie jednostajny i męczący duszę charakter.

— Otóż i Mina, Joanno — zawołał Miller, wskazując ręką na dziewczynę, wpatrującą się ciekawie w żyjący posąg powagi i surowości, stojący obok fotelu. — No, Mino, przywitaj się z twą ciotką.

Mina żwawo i lekko, z rozkosznym uśmiechem, kraszącym dołkami jej bladą twarzyczkę, posunęła się do Joanny i nim się ta spostrzegła, ucałowała jej najprzód ręce a potem twarz. Zaraz też wesoło i głośno śmiać i trzepotać się poczęła, mówiąc:

— Ach! jaka ciocia poważna i jak tu w tym salonie jest poważnie. Czemu ciocia nie wstawi kilka doniczek z kwiatami? Przy tem oknie naprzykład — szczebiotała, zdejmując kapelusz — ślicznie wyglądałby wielki rododendron albo tuja. Oh! ja się tem zaraz zajmę, jeżeli ciocia i wujaszek pozwolą. Trzeba tu koniecznie trochę zieloności, prawda ciociu?

— Być może — odrzekła zimno Joanna — ja nie mam czasu się tem zajmować. Życie jest ciężkie i nie dla nas kwiaty.

— A dla czego nie dla nas? — przerwał Miller. — Kwiaty istotnie nadają jakiś weselszy charakter domowi. Masz rację Mino, trzeba tu koniecznie kwiatów. Dziwna rzecz, że mi to dotąd nie przyszło na myśl. Trzeba się zaraz tem zająć. Istotnie rododendron by tutaj wybornie wyglądał, a smętna, zawsze drżąca tuja, ślicznieby się rysowała na poważnem tle tej oto starej kamienicy.

— Kwiaty to zbytek — wtrąciła Joanna.

— Ach! cioteczko, co za zbytek? Będzie ciocia widzieć jak to nam tanio przyjdzie. Ja umiem pielęgnować kwiaty i wkrótce ślicznych się dochowam.

Szczebiotała dalej tak ciągle, oglądając się po saloniku, w skromnej tybetowej sukience, zgrabna, szykowna, z ślicznie zarysowanym biustem i biodrami. Miller się uśmiechał, a Joanna siedziała poważna i milcząca.

— No, Joe — przemówił Miller do siostry tem spieszczonem imieniem, oznaczającem w jego ustach złoty humor — daj nam co jeść gorącego. Mina przeziębła i ja także. Powietrze szkaradne.

Milcząc powstała, sięgnęła ręką do głębokiej kieszeni, wydobyła z niej kluczyki i wyszła surowa i poważna.

VII.

Urodziny Millera przypadały w parę dni po przyjeździe Miny. Niemieckim obyczajem nie obchodził on imienin, tylko dzień swego przyjścia na świat. Przez te dwa dni Mina ze zręcznością wytrawnego dyplomaty owładnęła wszystkimi w domu, prócz Joanny, która zawsze zimno, choć grzecznie się z nią obchodziła. Za to stara Katarzyna, kucharka, stała się jej bezwzględną wielbicielką, a o Millerze nie potrzebujemy i mówić.

Twarzyczka dziewczyny przypominała mu jej ojca, którego szczerze kochał, choć niewiele go znał, a który należał do tego nieszczęsnego pokolenia polityków serca, umierających zdala od kraju na obczyźnie. Miller ułatwił mu niegdyś ucieczkę i dał listy rekomendacyjne do swej rodziny, która mieszkała wówczas na Pomorzu polskiem. Tam to ów Polak, nazwiskiem Baranowski, poznał się z kuzynką Millera i ożenił. Owocem tego związku, krótkiego i pełnego niedoli, była właśnie Mina.

Zachowała ona czarne, ogniste, marzące oczy ojca, wielkiego marzyciela, jego nos ściągły, prosty, jego żywość i wesołość. Teraz, kiedy przez te parę dni odpoczęła sobie po podróży, gdy nakoniec rozpatrzywszy się w swem nowem położeniu, nabyła pewności, że los jej jest ustalony, ożywiła się jeszcze bardziej i na bladą, martwą jej twarz wystąpił żywy rumieniec. Cały dzień biegała po domu, porządkowała go, dopomagała Joannie, wystarała się o doniczki z kwiatami, któremi nawet posępny kantor kupiecki Millera na dole przyozdobiła. Pokoik swój do góry nogami przewróciła i wyglądał teraz jakoś weselej, raźniej. Wieczorem, gdy Miller przychodził ze sklepu, przynosiła mu pantofle i cygaro, i zadyszana, zarumieniona siadała przy stole, a piersi jej pod obcisłą suknią falowały rozkosznie. Potem brała *Kurjera* do ręki i czytała go głośno, od czasu do czasu śmiejąc się srebrzystym swym śmiechem, który stanowił dziwny kontrast z surową powagą Joanny i surowszem jeszcze otoczeniem, z całym pokojem pełnym zawsze mrocznych cieniów.

Miller, który bacznie śledził wrażenie, jakie na jego siostrze robi Mina, mówił:

— Ona wniosła młodość i wesele do naszego domu, podobniejszego do klasztoru, niż do mieszkania kupca.

Joanna nic na to nie odpowiadała, tylko w milczeniu robiła pończochę, a szybsze migotanie drutów zdradzało chyba, co się dzieje w jej duszy.

W dniu urodzin Millera poszła Mina rano do jego pokoju i ofiarowała mu śliczny egzemplarz tui, mówiąc:

— Ach! tylko niech mi wujaszek nie dziękuje, proszę bardzo. Trzebaż czemś ożywić ten smutny pokój, a słyszałam, jak wój poetycznie się wyraził o tui. Postarałam się więc o ten kwiat. Trochę zieloności nigdzie nie zawadzi, a w tym pokoju tak jak w całym domu jest jakoś bardzo smutno, jak u Purytanów jakich.

Ucałował ją za to i czuł jak ta dziewczyna opanowuje go zupełnie.

Wieczorem, jak to rok rocznie bywało, miało przybyć trochę gości, sami zresztą swoi. Zapalono światła w salonie, których jednak nie było wiele i nie mogły dostatecznie oświetlić tego dużego pokoju, to też ze swym zimnym i poważnym charakterem wyglądał on przy blasku świec i lamp jeszcze poważniej i zimniej. Joanna kazała przygotować gorącą wieczerzę, polędwicę z kartoflami i sandacza z jajami, co już uważała za niezmiernie wystawne wystąpienie. Sama zrzuciła z siebie czarną wełnianą suknię i wystroiła się w ciężką, jedwabną, bronzowego koloru. Wyglądała w tym stroju, zapiętym starannie pod szyję, bez żadnych ozdób, prócz kolczyków brylantowych w uszach, jak mniszka, ze swą surową, poważną, nieokraszoną uśmiechem twarzą. Gdy szła, szeleściała ciężka jedwabna suknia, a posadzka drżała pod jej silnemi, męzkiemi krokami.

Mina także się wystroiła ładnie, zgrabnie, obcisło, jak kazała moda. Miller przyniósł jej świeżą różę purpurową, którą wpięła w swe czarne włosy. Sukienka krótka, z wyciętemi rękawami doskonale uwydatniała jej zręczne kształty, jej pierś w samą miarę wypukłą, jej talję giętką, jej szerokie, dobrze zbudowane biodra. Ręce nagie miała trochę chude i sama była szczupłą, ale twarz pozbyła się już bladości i śliczne oczy pałały jak dwa brylanty.

Usiadła na twardym nieco fotelu w salonie, razem z Millerem, czekając na gości, bo Joanna poszła jeszcze do kuchni doglądać wieczerzy. Mina siedząc, przeglądała album z fotografjami i przypatrywała się pilnie portretom rodziny Zaremby, jakby chciała wyczytać z ich twarzy, co to są za ludzie. Uderzyła ją młoda, wesoła i szyderska trochę twarz Julka Zaremby

i kazała Millerowi opowiadać sobie o nim wszystko co wie.

— Kształcił się na inżyniera — mówił Miller — ale teraz nic nie robi. Próżniak jest trochę i letkiewicz, dziecię tego nieszczęsnego pokolenia, które wywołało wielką burzę, urodzone wśród burzy i trzasku piorunów. Byłby to dobry chłopiec, gdyby był stalszym w przekonaniach i wyobrażeniach swoich. Dawniej wesoło patrzył w świat, dziś słyszę jest zawziętym pesymistą. Jedna to z tych marznących fal burzliwego oceanu życia społecznego... Może mnie nie rozumiesz, Mino, ale później ja ci to wytłómaczę, gdy będę miał czas. Trzeba poznać ostatnią przeszłość kraju, żeby dobrze zrozumieć tych ludzi urodzonych wśród błyskawic i gromów, pożogi i krwi... wyrosłych wśród grobowej ciszy, wśród szumu ścinającego lodem burzące się fale...

Miller mówił to wszystko zwykłym sobie poetycznym językiem, pełnym przenośni i porównań, których jędrność i barwność dziwnie nie licowała z jego pulchną, dobroduszną, mieszczańską twarzą. Minę bawił ten kontrast: ta poezja w ustach Millera wydała się jej wysoce komiczną. (C. d. n.)

Słowiczku mój.

Gdy słońca blask rozprasza cień,
I złoci listki drzew,
Słowiczku mój, powitaj dzień,
Słowiczku zacznij śpiew!

Słowiczku mój, słoneczko lśni,
Świegoce ptasząt rój:
A tam dziewczka — marzy, śni,
Zbudź ją słowiczku mój.

Piosenkę jej — do serca lej,
Rozszerzaj serca cieśń,
Słowiczku mój, a leć, a piej!
Czarowną twoją pieśń.

Gdy słonko lśni nad główką twą,
Gdy się zieleni maj,
Słowiczku mój — piosenką swą,
Dzieweczkę zwabiaj w gaj.

miłość w jej serduszko wlej,
I oko okraś łzą,
Słowiczku mój, a leć, a piej!
Czarowną piosnkę twą!

A gdy się skończy dzienny znój,
Wieczorne echa budź,
Słowiczku mój, śpiewaku mój,
Czarowną piosnkę nuć.

Jowita.

Kwiat szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

Henryk chciał coś odpowiedzieć, ale Ewelina przerwała mu zaraz przy pierwszych słowach:

— Nie sil się, panie Henryku, na słowa pociechy, raczej zajmij się sobą i posłuchaj szczerej i dobrej rady życzliwej ci przyjaciółki. Życie jest zbyt kosztownym skarbem, żeby je narażać dla chwilowego kaprysu, a przy odwadze i energji, na jakich ci nie zbywa, znajdziesz godniejsze i wyższe cele nad nikły kwiatek, wyrastający w miejscach niedostępnych. Zaczynam teraz wierzyć, że także dla jakiegoś kaprysu starałeś się w oczach moich uchodzić za lekkomyślnego.

Uwagi wypowiedziane w ten sposób miały w sobie także coś mentorskiego, ale nie było w nich owego tonu kaznodziejskiego, tej wyższości jaka wiała z poprzednio wygłoszonej nauki, która Henryka podrażniła do żywego. Wsłuchiwał się więc w łagodne brzmienie harmonijnego głosu i czuł w głębi piersi, jak słuszne były te zarzuty.

— Wszyscy, nie wyłączając mego ojca, uważają mnie za niepoprawnego, którego nic już nie zdoła poprawić, nie chciałem więc targnąć się własną ręką na tę utartą i nieomylną o mnie opinję — odpowiedział Henryk, podniósłszy oczy i wpatrując się w łagodne oblicze pani Rehfeld, gdzie wyczytał żywy protest przeciw temu co właśnie mówił. — Sądzisz pani zatem, że zachód około mojej poprawy mógłby się opłacić?

— Od dziś wierzę w to z całem przekonaniem.

Pani Ewelina uczuła pocałunek na swem ręku, gorący, przeciągły i pomięszana chciała ją usunąć, ale Henryk uchwycił co prędzej za drugą rękę i patrząc jej w oczy, rzekł z zapałem:

— Spróbuję poprawić się.

— Przyjmuję ten kwiatek, jako zakład danego mi przyrzeczenia. Kto wie, może to ów kwiat szczęścia, dziś zdobytego.

— Które pani trzymasz w swem ręku — dodał Henryk z zapałem, ściskając drobne rączęta.

Młoda kobieta nie mogła ukryć dziwnego wzruszenia, jakiemu uległa pod wpływem gorących słów Henryka, wyrwała prawie przemocą ręce i odwróciwszy zapłonioną twarz, wyszeptała zmienionym głosem:

— Zmierzch już zapada, trzeba powracać do domu!

Henryk zdjął z ziemi rozłożony szal i chciał okryć Ewelinę, ale podziękowała mu, przyjmując natomiast podane sobie ramię.

Zwolna kroczyli przez obszerny park, a wokoło wiosna roztaczała czarowną woń pobudzonych do ży-

cia pierwiosnków. Lekki wietrzyk przeciągał w powietrzu szepcąc niezrozumiałe słowa nadziei i tęsknego oczekiwania, góry i doliny zdawały się przepełnione czarowną harmonją anielskiego pienia, a z kwiatka, w który młoda kobieta wpatrywała się z zajęciem, odbrzmiewały ostatnie słowa piosnki:

Kto we właściwy zerwie go czas,
Czarowną rószczkę zerwie z nim wraz:
Więc pnij się w górę gdy nie znasz lęku,
A razem z kwiatkiem szczęście w twem ręku!

* * *

Na drugim końcu wioski, o pół mili od willi pani Rehfeld, wznosił się skromny domek w szwajcarskim stylu, otoczony zaniedbanym nieco ogrodem kwiatowym, wynajmowany na lato przez obcych, przybywających w góry dla spędzenia kilku letnich miesięcy.

W tym roku ożywił się dom już w pierwszych dniach kwietnia. Starszy jegomość, doktor medycyny, jak mówiono, zajął w nim mieszkanie ze starą sługą i młodym swym asystentem, ale odgraniczył się zupełnie od świata i nie pozwolił nikomu zbliżyć się do siebie. We wsi miał już ustaloną reputację dziwaka i grubianina, ponieważ kilku mieszkańców, szukających u niego pomocy, odprawił w sposób mniej grzeczny. Papa Kroneg doświadczył także na własnej osobie, jak niebezpiecznem było zbliżenie się do tej zagadkowej postaci, a stara dozorczyni, która pełniła obowiązki kucharki, żegnała się krzyżem świętym ilekroć zbliżała się do pana doktora.

W obszernym salonie urządził doktor swą pracownię i tam mieścił liczną bibliotekę przywiezioną z miasta.

Staroświecki zegar, umieszczony pomiędzy dwoma szafami, wybił godzinę 12. Stary sługa uwijał się w pracowni, porządkując na stole, zastawionym różnemi retortami, flaszeczkami i innymi przyborami do doświadczeń chemicznych, a pan doktor odwrócony twarzą do okna, spoglądał na góry, które się rysowały w oddali.

Doktor Eberhardt przekroczył pięćdziesiątkę. Była to postać wyniosła, ale niekoniecznie sympatyczna. Na twarzy ostro zarysowanej przebijała niezwykła inteligencja, ale koło wąskich zaciśniętych ust igrał uśmiech gorzkiej ironji i wyzywająca pewność siebie. Widać w nim było człowieka, który niezwykł ulegać, ale zawsze i wszędzie przeprowadzać własną wolę. Nie odwracając się od okna, wyrzekł do starego sługi suchym i ostrym głosem:

— Jak przyjdzie osoba, którą zameldowałeś, wprowadzisz ją do mnie.

— Tutaj? — zapytał zdziwiony Marcin.

— Oszalałeś! do mojego pokoju.

— Rozumie się! — odmruknął stary cerber. — Radbym tylko wiedzieć, jakie licho sprowadza nam na kark kobietę?

— Domyślam się! Dom, w którym mieszkamy, wystawiony na sprzedaż: ta pani Anna Rehfeld chce go zapewne nabyć, ale nic z tego. Wynająłem dom na cały rok i jestem w nim panem, a każdemu nieproszonemu gościowi zatrzasnę drzwi przed nosem.

— Tak! przed nosem! — powtórzył z zadowoleniem Marcin, któremu taka procedura niezmiernie przypadała do smaku. — Rehfeld, mówi pan doktor? Właścicielka willi, tej na tamtym końcu wsi, nazywa się pani Rehfeld, podobno wdowa z córką.

— Co mnie to obchodzi! może sobie być babką z dwoma tuzinami wnuków. Przyjąć ją muszę, ale ani na krok nie ustąpię z moich praw. Rozprawię się z jejmością krótko, jak onegdaj z tą małpą w postaci tajnego radcy, który mi chciał imponować swym tytułem i orderami.

— Oho! ten pewnie się tu więcej nie pokaże! Dogodził mu pan doktor rzetelnie — zawtórował Marcin z odpowiednim gestem, chcąc podchlebić swemu służbodawcy, co ten przyjął przychylnie.

— Niech mnie nie nachodzą! Idź zawołaj mi pana doktora Gilberta

Marcin wyszedł, stąpając ciężko i pomrukując:

— Kupić dom, nas ztąd wyrzucić..... a niedoczekanie.

Doktor przeszedł się kilka razy po pracowni i nie żałował epitetów urojonemu nabywcy domu gdy wszedł przywołany asystent.

Gilbert mógł liczyć dwadzieścia trzy lub cztery lat. Wzrostu słusznego, szczupły, o łagodnem wejrzeniu i prawie niewieścich rysach twarzy, zdradzał brak samoistnego charakteru i pewną trwożliwość w całem zachowaniu się.

— Dobrze że przyszedłeś — powitał go Eberhardt, nie kiwnąwszy nawet głową na niski i pełen uszanowania ukłon asystenta. — Weźmiemy się do próby, o której panu wczoraj wspominałem. Czy ukończyłeś przechadzkę?

— Nie miałem jeszcze czasu — odpowiedział Gilbert nieśmiało — a robota, którą miałem pod ręką.....

— Chodzić, chodzić kazałem! — krzyknął doktor. — Zbyt długie przesiadywanie w pokoju rozstraja ci nerwy, potrzebujesz pan powietrza, ruchu. Jak on dziś wygląda? jak zmora!

— Ostatniemi czasy pracowałem nieco więcej, ale egzamin....

— Zdałeś pan świetnie! — przerwał Eberhardt, spojrzawszy z zadowoleniem na młodzieńca. — Rozprawa pańska zrobiła furorę i ręczę, że panom profesorom żółć się rozlewa ze złości, że to mój asystent właśnie i mój uczeń złożył dowody tak niezwykłych zdolności. Ale właśnie dla tego powinienbyś odpocząć, inaczej... do kroćset! żądam, żeby moje dyspozycje były wypełniane co do joty.

Gilbert przywykł do szorstkich form swego pryncypała, dla tego nie wiele zważał na podniesiony głos i sposób, w jaki się ten wyrażał, najspokojniej poszedł do stołu i zajął się przygotowaniem narzędzi do eksperymentowania.

Doktor usiadł gwałtownie na przeciwnej stronie i bębniąc palcami po stole, przyglądał się pracy asystenta.

— Pewnie nam przeszkodzą niebawem. Oczekuję wizyty....

— Może fizyk powiatowy? Nie zastał pana doktora wczoraj....

— Głupstwo! jakaś kobieta...

— A! — wykrzyknął Gilbert, a wykrzyk ten zawisł na ustach otwartych ze zdziwienia. — Kobieta?

— Która pana nic nie obchodzi! — odburknął Eberhardt. — Jakaś babka, która ma dwanaścioro wnuków.

— I przyjdzie tu z nimi wszystkimi? — zapytał Gilbert ciekawie, znał bowiem uprzedzenie swego pryncypała do dzieci.

— Idź pan do djabła z wnukami — żachnął się pan konsyljarz. — Sama tu przyjdzie... Nazywa się Anna Rehfeld i chce nabyć tę realność, ale przeliczy się babina. Już ja ją tak przyjmę, że im się odechce nachodzić nas w naszem legowisku.

Eberhardt zapomniał, że przypuszczenia te wysnuł z własnej fantazji i wierzył uparcie w to co mówił...

— Dalej! do roboty! mój młody panie!

Eberhardt przelewał płyny z różnych flaszeczek do retorty, pod którą płonęła lampka spirytusowa, i śledził bacznie przebieg procesu łączenia się chemikaljów. Gilbert tymczasem robił doświadczenia na szklannej płycie, którą trzymał w ręku. Zajęci pracą, nie słyszeli turkotu zajeżdżającego powozu i dopiero głośny śmiech w przedpokoju, czysty jak głos dzwonka, zwrócił uwagę pryncypała i asystenta.

— Jakaś kobieta..... zapewne babka, ale zdaje się, że przyprowadziła z sobą wnuczątko — zauważył Gilbert.

— Tego jeszcze brakowało! — wykrzyknął doktor i rzucił się ku drzwiom, w których ukazał się Marcin.

— Panie konsyljarzu...

Nie miał czasu dokończyć zaczętego frazesu, bo tuż za nim wbiegła lekko Andzia, poprzedzając Henryka Kroneg.

— Nie przeszkadzamy panu zapewne, bo zapowiedziałam naszą wizytę listownie? — wyszczebiotała Andzia. — Jestem Anną Rehfeld, a ten pan....

Brzęk stłuczonego szkła przerwał dalsze słowa. Wszyscy zwrócili się w stronę, zkąd pochodził. Gilbert stał oniemiały z przerażenia, a u nóg leżała szklanna płyta, rozpryśnięta w drobne kawałki.

Andzia spojrzała ciekawie na zapłonionego młodzieńca i nie byłaby kobietą, gdyby nie odgadła, że to jej zjawienie się wywołało ten fatalny dla Gilberta wypadek, to też figlarny uśmiech zaigrał na jej twarzy i okrasił ją lekkim rumieńcem.

Eberhardt spostrzegł także przyczynę pomieszania swego pupila, a spostrzeżenie to pogorszyło jeszcze zły humor, w jaki wpadł na samo zjawienie się obcych w swem sanctissimum. Nie odpowiedziawszy więc na powitanie Andzi, zwrócił się do Gilberta i sucho zakomenderował:

— Idź pan na przechadzkę!

— Teraz? zaraz? — odważył się zapytać Gilbert.

— W tej chwili! — powtórzył zniecierpliwiony doktor podniesionym głosem. — Wynoś się, a nie wracaj przed godziną.

Gilbert poddał się z pokorą rozkazowi, lubo nie bez wewnętrznego protestu, a wychodząc, odwrócił się jeszcze raz od drzwi, posyłając przeciągłe spojrzenie uroczemu zjawisku. Andzia spojrzała równocześnie za wychodzącym i oczy ich spotkały się w pół drogi...

Gilbert chciał się jeszcze zatrzymać chwilkę na progu, lecz Marcin popchnął go naprzód i zatrzasnął drzwi.

— Mój Marcinie! kto jest ta pani? — pytał Gilbert błagająco starego cerbera, eskortującego go przez przedpokój.

Marcin zmarszczył czoło i zamiast odpowiedzi na pytanie, rzekł:

— Pilnuj się pan, panie doktorze

— Przed kim?

— Przed tą lalką!

— Mówisz o tej pannie?

— To djabeł nie panna. Zajeżdża przed dom, wyskakuje z powozu jak istny djabeł, wtyka mi w rękę bilet wizytowy, na którym czytam „Anna Rehfeld“; musiałem strasznie głupią zrobić minę, bo mi w oczy parsknęła śmiechem. — Śmiać się ze mnie! — Wyśmiała mnie na dobre i ten jej towarzysz śmiał się do rozpuku... Musieliście panowie słyszeć ten głupi śmiech? Nie wiem czy wyszedłszy od naszego pana będą w takim różowym humorze z jakim tu przyjechali? On im tam napieprzy za mnie i za siebie... U nas nie miejsce na śmiechy.

— Kto to wie? — odpowiedział Gilbert.

— Idź pan na spacer, jak kazał pan doktor a strzeż się pan spotkać z tym djablikiem! — zakonkludował Marcin potrząsając znacząco siwą, krótko ostrzyżoną głową.

Gilbert nie poszedł na zwykłą przechadzkę po za obejście domostwa do przyległego lasku, lecz został w ogrodzie; tak manewrował żeby nie spuścić z oka bramy i nie oddalać się od niej zbytecznie.

Młody assystent doktora Eberhardta nie znał kobiet prawie zupełnie z wyjątkiem starych gospodyń,

zarządzających domem pryncypała, które ten ostatni zmieniał co kwartał. Żadna nie wytrzymała dłużej u gwałtownego i zgryźliwego eskulapa.

W stolicy miał ustalone imię najlepszego lekarza i mógł był zrobić miljonową fortunę, ale odstraszał pacjentów gburowatem obejściem i bezwzględną szorstkością.

Objął katedrę na uniwersytecie, ale po kilku miesiącach opuścił ją wskutek niesnasek, pokłóciwszy się z całem gremium profesorów.

Od tego czasu usunął się widowni publicznej i oddał się badaniom doświadczalnym, pisując równocześnie dzieła lekarskie, poszukiwane i uznane przez uczony świat za jedyne w swoim rodzaju. Majątek jaki posiadał dawał mu niezależne stanowisko i dla tego nie miał potrzeby oglądać się na ludzi, dla których prócz pogardy nie miał innych uczuć.

Gilberta, syna dawnego kolegi i przyjaciela wziął doktor Eberhardt do siebie i jedyna to może istota była na ziemi, po której czuł jakieś przywiązanie.

Sierota bez ojca i matki znalazł w doktorze opiekuna i nauczyciela, chociaż musiał znosić najdziwaczniejsze kaprysy i wybuchy złego humoru, przywykł jednak w krótkim czasie do wszystkich dziwactw swego pryncypała tem łatwiej, że z natury był nieśmiały i nie zdolny do jakiejkolwiek opozycji.

Eberhardt starał się wszczepić w swego pupila zamiłowanie do medycyny, co mu się łatwo powiodło i nie szczędził kosztów na fachowe i ogólne wykształcenie Gilberta, z drugiej strony jednak zrobił go narzędziem swej woli i wszelkimi sposobami starał się wykorzenić w młodej jego piersi najlżejsze nawet poczucie samoistności. Stary Marcin, uosobniony sobotwór doktora, uzupełniał dzieło ujarzmienia młodego asystenta.

Stosunek bezwzględnej zawisłości nie zmienił się pomiędzy opiekunem i pupilem nawet wtenczas, gdy ten ostatni zdawszy wszystkie egzamina uzyskał stopień doktora medycyny.

Uległo pewnej zmianie finansowe tylko położenie nowego pana doktora, któremu Eberhardt, przybrawszy go sobie na asystenta, wyznaczył pewną płacę w gotówce prócz zupełnego jak dotąd zaopatrzenia.

Gilbert nawet nie myślał o zmianie swego położenia: za wiele wdzięczności był winien doktorowi, żeby się chciał wyłamać z pod jarzma, którego ostatecznie w swej nieporadności nie czuł zbyt dotkliwie.

Marcin tytułował teraz Gilberta panem doktorem, ale nie przestał mentorować na każdym kroku i maltretować różnemi podejrzeniami.

Pierwszy to raz wyłamał się Gilbert z ślepej karności i zamiast pójść na przechadzkę, jak mu to nakazał doktor Eberhardt, został w ogrodzie i okrążał dom z wszystkich stron, ukrywając się oględnie po za krzewy i drzewa, żeby nie zostać spostrzeżonym.

Nie długo trwała wizyta przybyłych, ponieważ po upływie dziesięciu minut wyszła Andzia z dworku zdążając ku bramie. — Z twarzy jej można było wyczytać, że konsultacja z doktorem Eberhardtem nie wypadła po myśli. Henryk pozostał sam w jaskini dzika.

Patrząc przed siebie, zdążała Andzia do powozu, który czekał przed bramą i zdawała się zajętą myślami, ale nie wesołemi, bo twarzyczkę zasępiła, a z oczu tryskał gniew i wewnętrzne oburzenie.

Gilbert, który zręcznie manewrował, żeby w danej chwili znaleźć się tuż przy wyjściu z ogrodu, wszedł jej w drogę na poprzek, ale tak niezręcznie, że omal nie wywrócił dziewczyny. Przeląkł się nagłego zetknięcia, i stanął bezradny i onieśmielony, jak zbrodniarz schwytany na gorącym uczynku i zastąpił sobą przejście po wąskiej w tem miejscu ścieżce.

Andzia przerażona także gwałtownem najściem obcego jej człowieka, cofnęła się wstecz i zawołała z oburzeniem:

— Mój panie!

Gilbert zaczerwienił się po same uszy i co prędzej i odskoczył w bok, w gęste krzaki agrestu, nie zdolny wydobyć z siebie ani słówka. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(Ciąg dalszy).

Roman wszedł w bramę szeroką, z uczuciem dziwnej niepewności i pomieszania. Po nad tejże kolumnadą, wznosiła się kopja z marmuru kararyjskiego Hermesa, którego rzeźbił nieśmiertelny Praksyteles. Twarz to zagadkowa. Trudno zgadnąć, czy piękny bożek duma nad problematem, którego rozwiązaniem chce ludzkość usszczęśliwić, czy też jest na tropie jakiejś omyłki w rachunku.

Szwajcar upudrowany, w przepasce, z laską o złotej gałce, otworzył bramę na oścież. Gość wszedł do sieni olbrzymiej, ozdbionej kolumnadą marmurową, gdzie już stał lokaj w ciemnej liberji, oczekujący rozkazów z niskim ukłonem.

— Proszę pani zapowiedzieć moją wizytę — Roman podał mu bilet wizytowy.

Lokaj znikł, a po chwili wrócił z sakramentalnem:

— Jaśnie pani kazała prosić pana barona.

Wysunął się o krok naprzód, aby, jak to było jego powinność, otworzyć przed gościem pyszne drzwi palisandrowe, i zamknąć takowe bez szelestu najlżejszego.

Roman ujrzał przed sobą wspaniałą amfiladę. Jeżeli w pierwszym zaraz gabineciku uderzył go sufit pysznie malowany i gipsaturami wyzłacanemi bogato ozdobiony, zachwycały go tuż obok, obicie ze skóry na ścianach, wyciskanej w złote arabeski, karjatydy, na których spoczywał kominek marmurowy i mnóstwo innych pięknych przedmiotów.

I salon na końcu amfilady nosił wyraźne piętno stylu pełnego smaku i harmonji w doborze barw i tkanin na meblach. Meble gotyckie, z hebanu, zdawały się jak ze starości poczerniałe; na ciemno-wiśniowym brokacie były kwiaty aksamitne, które, gdy na nich padł promień słońca, mieniły się w załomach barwą purpurową.

Nawet widok z okien, mimo jednostajności terenu płaskiego, nie był bez pewnej poezji i wywierał głębokie wrażenie. Po za kobiercem zielonym, misternie rabatami kwiatów przetykanym, oko spoczywało na majestatycznych w parku okazach. Po za parkiem świeciły wieże miejskich kościołów i sterczały dymiące fabryk kominy. Jeszcze dalej wzrok gubił się w krajobrazie ciągnącym się w nieskończoność, gdzie już niebo lekkiemi chmurkami zasiane, łączyło się z mgły wiszarami po nad ziemią pływającemi. Na tej jak okiem zasięgnął płaszczyźnie równiusieńkiej, odznaczały się jedynie słupy telegraficzne i sieć szyn żelaznych krzyżujących się na wsze strony, niby drogi wiodące w ową nieskończoność.

Roman nie mógł wzroku oderwać od tych wspaniałości. Tu całe otoczenie odpowiadało jego wyobrażeniom, pańskim nawyczkom i smakowi wytwornemu. Jeżeli po większej części u dorobkiewiczów złoto skacze w oczy niejako, bo na tem oni się znają jedynie, w pałacu Löwensternów było dźwignią potężną, działającą cuda, wywołującą przepych iście królewski.

Naraz coś go tknęło, jakby uczuł że ktoś nań patrzy. Szybko głowę odwrócił.

W jednej z olbrzymich kryształowych tafli źwierciadlanych, mur wpuszczonych, w obramowaniu marmurowem, spostrzegł Astę. Wzrok jego spotkał się ze spojrzeniem badawczem tych czarnych źrenic płomienistych, które zdawały się patrzeć na niego z niemym wyrzutem, niemal ze skargą bolesną. Pospieszył ją powitać.

Po miękkim perskim kobiercu w gabinecie stąpała cichuteńko i stanęła pod portjerą salonu.

Zwierciadło musiało skłamać tym razem, albo złudził go blask światła, dziwnie się w niem łamiący. W jej oczach śladu nie było jakiegoś wrażenia lub uczucia silniejszego. Patrzała mu teraz w oczy zimno i apatycznie, jak zwykle. Szła przez salon zwolna, leniwo, jakby wlokła za sobą w powłoce długiej, z wiotkiego muślinu indyjskiego i mglistych koronek, ciężar życia nad siły. Wyszła bez pani Bertrand, niby cień od niej nieodstępnej.

— Muszę pana sama przyjmować — wtrąciła.— Brat mój dotąd nie wrócił, a pani Bertrand ma znowu migrenę. Nie służy jej nasze powietrze.

Usiadła z nonszalanją wielkiej damy na kanapie, ręką wskazawszy gościowi wysokie krzesło gotyckie.

Zajął miejsce wskazane, odpowiadając ze spokojem, tonem rycerskiej szarmanterji, jako prawdziwy salonowiec.

— Czuję się nad wyraz szczęśliwym, iż mimo tych wszystkich przeszkód, pani mnie przyjąć raczyłaś.

Oczy jej powieką przysłonięte, utkwiły w jego rysach, jakby chciały myśli najtajniejsze przeniknąć.

— Nie zważam od dawna — ręką machnęła — na owe drobiazgowe formułki i skrupuły towarzyskie, które na przykład: zakazują kobietom niezamężnym przyjmować mężczyzn. Znajduję, iż takie wykroczenie przeciw narzuconej nam etykiecie, nie może mieć żadnego wpływu na przyzwoitość i surowość obyczajów.

— Komu jest danem, być uosobistnieniem dobrego tonu, temu wolno prawa stanowić i patrzeć z góry na świat cały — rzekł uprzejmie.

Osłupiała. Uderzył ją widocznie ton pochlebny, w jakim tych słów kilka wypowiedział. Głos jej drżał gdy nareszcie zebrała się na odpowiedź i czuło się w nim rozdrażnienie nawet, pewną szorstkość.

— Nie roszczę sobie wcale prawa panowania nad światem i pomiatania formami towarzyskiemi, które zwyczaj i tradycja uświęciły. Wyrobiłam li w sobie rodzaj samoistności i sądu własnego o stosunkach społecznych. Zajmuję wreszcie stanowisko od nikogo i niczego niezależne.

— Stanowisko... jeszcze raz muszę powtórzyć — skłonił się z wytworną szarmanterją, chociaż mówił tonem lekko ironicznym — na wyżynach niedostępnych, na górze złotej. Nie dziw zatem, iż z tego szczytu patrzysz pani z uśmiechem litości na rzeszę pospolitych śmiertelników, nie tak hojnie przez los obdarzonych i wyposażonych, nie dziw że stamtąd ich zwyczaje, ich troski i zabiegi, wydają się pani istną nędzotą, a oni sami mrowiskiem po prostu.

Z pod długich rzęs przeszyła go spojrzeniem, tak pełnem gorzkiej wymówki, iż mimowolnie wzrok wlepił w posadzkę.

— Nie przeczę — głową skinęła wyniośle — iż nieraz ludzie wydali mi się o wiele nędzniejsi nawet i więcej małoduszni, niż mrówki skrzętne i pracowite. I tego się nie wypieram, iż śmieszną mi się wydaje pruderja niektórych panien, które uważałyby się niemal za zgubione, gdyby przyjęły wizytę mężczyzny, sam na sam, tak, jak się śmiałam serdecznie w Konstantynopolu, gdym spotkała kiedy damy tureckie, podczas jakiejkolwiek za miasto wycieczki, otoczone strażą, z dobytemi pałaszami, aby chroń

Boże, zasłony nie odchyliły i komukolwiek twarzy nie pokazały. Owa złota góra, o której pan wspominasz, pozwala nam istotnie rzucić okiem na świat cały, poznać z bliska wszelkie kraje i narody, porównywując jednych z drugimi. I wtedy uczymy się co jest prawdziwie wzniosłem, i co dla nas świętem ma pozostać a co jest wewnątrz próchnem, choć się z wierzchu świeci blaskiem sztucznym.

Roman czuł dziwny urok, z jej słów płynący. Zasady, które wygłaszała, były istotnie jej wiary wyznaniem, od nikogo tychże nie wypożyczała. Jej organ kontraltowy, działał na niego bardzo sympatycznie. Uderzały go również te rysy szlachetne i harmonja doskonała w każdym ruchu i w całej postawie.

Wprawdzie nie wyglądała już młodziutko, mimo iż kończyła dopiero lat dwadzieścia cztery. Jej nastrój moralny, jej umysł był zupełnie dojrzały, od stóp do głowy dama wielkoświatowa, nawet w sposobie traktowania mody kaprysów. Ubierała się tak, jak jej to smak wytworny nakazywał, nie wdając się w żadne ekscentryczności, tak przez damy z *demi-mondu* ukochane. Wszystko w jej osobie nosiło cechę klasycznej, wdzięcznej prostoty, tak strój cały jak i sposób upinania na głowie przepysznych splotów, o kruczym połysku.

— Masz pani słuszność — odrzucił westchnąwszy nieznacznie — stokroć szczęśliwsi ci, którzy jak ty i twój brat szczytu dosięgli.

— Szczęśliwi? — uśmiechnęła się Asta ze smutną rezygnacją. — Czyż wystarczy w życiu przekonanie, iż możemy być niezależni, i urządzić się według własnego gustu, lub choćby kaprysu? Biedak walczący z dnia na dzień o kęs chleba powszedniego, ten właśnie czasu niema badać duszy i troszczyć się o to, czemby ona mogła się zadowolnić.

— O! z pewnością! — Roman potwierdził, rozmową w wysokim stopniu zainteresowany.

— Co się zaś nas tyczy — mówiła Asta dalej — pieniądz spada u nas, do swojej realnej wartości. Widzimy w nim silną dźwignię, aby dopiąć celu upragnionego. Częstokroć jednak uczy nas doświadczenie, iż pieniądz może li oszczędzić nam trosk codziennych; szczęście atoli kupić się nie da. Choćbyśmy ofiarowali na to miljony, nie potrafimy zdobyć takich własności i przymiotów, które by nam szczęście prawdziwe zapewnić zdołały.

Ostatnie słowa wymawiała z namiętnem uniesieniem, wbrew swojemu spokojnemu i zimnemu nastrojowi.

Roman patrzył na nią zdziwiony.

Drgnęła, jakby się sama przelękła wybuchu niewczesnego, a na blade policzki wystąpił silny rumieniec.

Baron mimo całej przytomności umysłu i talentów dyplomatycznych, pomięszany i zaniepokojony, nie wiedział na razie co odpowiedzieć.

I nie potrzebował zresztą odpowiadać.

W sieni i na schodach rozległ się głos młody i wesoły. Ktoś biegł pędem, drzwi z łoskotem otwierając. Na progu stanął Detlew bez tchu niemal, w białem, letniem, pikowem ubraniu.

Był widocznie uradowany niespodziewanym widokiem siostry z Romanem.

— Kochany baronie! — wykrzyknął serdecznie, a czarne oczy pływające na białkach świecących blaskiem perłowej macicy, zalśniły szczęściem rozpromienione. — Jak to pięknie, że cię tu zastaję! Zaraz moje kursa pójdą w górę na dzień cały, mianowicie co się tyczy dobrego humoru i usposobienia, a stały o wiele niżej od *al pari* przy tym upale kolosalnym! Dziśby nam się przydał wachlarz, przysłany niegdyś przez mojego wujaszka, konsula w Bombay. Przyczepiało się go do fotelu, a potem ciągnęło za sznurek jedwabny. Dmuchał jak miech kowalski! Ale moja siostrunia nie zniosłaby takiej w stylu anomalji... *A propos*... cóż mówisz o naszym... przepraszam! o domku Asty? Ja bo przepadam za stylem *rococo*. Byłbym wystawił pałacyk, cacko! ze wszystkiemi szykanami i finesami. Taka bombonierka odpowiadałaby raczej moim upodobaniom. Ten styl renesansowy, poważny i majestatyczny, przygniata mię. Zdaje mi się, że lada chwila za drzwi wylecę z tego pałacu wspaniałego. No! przynajmniej u siebie na parterze, urządziłem wszystko według własnego widzimisię. Tam znajdziesz baronie, o czem Bóg wie i nie wie! Ho! ho! stój! poczekaj! musisz wpierw, baronku kochany, spór rozstrzygnąć między nami. Idzie o nowe kieliszki do szampana, do naszej salki jadalnej — mrugnął do siostry znacząco — kazałem tu przynieść próbki rozmaite.

Zwrócił się ku drzwiom, przez które wchodził właśnie lokaj z elegancką szkatułką w jednej ręce, a w drugiej niosąc na srebrnej tacy kieliszki różnej wielkości. Złożywszy to wszystko na stole przed kanapą, ulotnił się natychmiast

— Jabym te tu wybrał — podniósł Detlew wieko szkatułki, gdzie na poduszce aksamitnej leżały szeregiem kieliszki długie, kształtem kwiat lilji przypominające, z kryształu najpiękniejszego, spoczywającego na podstawie *en vermeil* z winogron i liści emaljowanych. Asta jednak więcej pociąga za temi tu czarnemi szerokiemi, jakich jeszcze Grecy starożytni używali.

Roman spojrzał na jedne i drugie.

— Rozumiem — uśmiechnął się nieznacznie, zwrócony do Asty — dla czego pani wolisz czary szerokie a płaskie. W nich szampan nie będzie się tak pienił i prędzej opadnie. Pani zaś masz wstręt wrodzony do wszystkiego co szumi i burzy się niepotrzebnie, coby mogło wywrzeć nadto silne wrażenie. Musisz pani jednak przystać na te tu pyszne puhary — podniósł w górę jeden z długich kieliszków,

mówiąc dalej tonem żartobliwym: — musisz pozwolić w swoim pałacu na uczty szumne i wesołe, bo to nieodłączne od stylu renesansowego.

— Brawo! — zawołał Detlew, wybuchając śmiechem. — „Z puharem w dłoni, z kochanką u boku!“ Czyż nie tak nam sławni malarze ową epokę odtwarzają? Czyż wobec ówczesnych szałów nie wydajemy się dziś istnymi Kamedułami? Ciekawym jednak niezmiernie, jak się ty, Asto, pod tym względem do stylu zastosujesz, tak strzegąc tegoż czystości? — znów się roześmiał w głos z dziecinną niemal pustotą.

Asta lekko mu pogroziła, w tonie jej przecież czuć było bezgraniczne do brata przywiązanie.

— O dopełnienie ostatniego warunku ty się już braciszku postarasz! — uśmiechnęła się Asta.

Potrząsł głową figlarnie:

— Jak dotąd, uczuciem jedynem i najwyższem w mojem sercu jest przyjaźń! — uścisnął serdecznie dłoń Romana, badając z pod oka siostrę.

Roman z powrotem do siebie rozmyślał nad odniesionem wrażeniem.

Asta była nietylko damą światową, która potrafi z szykiem robić honory w salonie, to kobieta wyższa nad poziom, szlachetna w całem tego słowa znaczeniu. Może zatem śmiało powierzyć jej cześć imienia starożytnego baronów Gehren.

I nie sądził, aby mu przyszło z trudnością skłonić ją do małżeństwa konwencjonalnego. Była z natury zimną, trochę nawet apatyczną, nie będzie zatem wymagać ognistej miłości. Ten brak pewnej w uczuciach egzaltacji był mu właśnie na rękę. Wziąć żonę bez miłości, a być następnie prześladowanym jej namiętnem przywiązaniem, to sytuacja rozpaczliwa, bez wyjścia!

Trzebaby ją tylko przekonać, iż zgadzają się w poglądach na świat i ludzi, co stanowi podstawę spokojnego małżeńskiego pożycia. Nie byłby chyba urodzonym dyplomatą, żeby nie miał trafić w ton dla niej stosowny i zrozumiały.

A jednak pierś mu się ścisnęła dziwną tęsknotą. Niby we mgle przemknął przed nim obraz o niepewnych, przez pół zatartych konturach: W wieży zamkowej, w komnacie taflami dębowemi wyłożonej zmrok już zapadł. Od kominka płonącego bije łuna purpurowa, na wyniosłą a wiotką postać jego matki. Z koszyczka stojącego przed nią na stoliku, wyziera róg czapraka ponsowego, który dla syna haftuje na gwiazdkę i lalka główkę wyściubia dla najmłodszej pochrześnicy przeznaczona. Książka leży otwarta na wieczornej modlitwie. W każdym kąciku czuć ciepłą dłoń kobiety pracowitej, ewangielicznej.

Precz z obrazem!

Pamięć lat dziecięcych musi zniknąć, jak one przeszły aby nigdy nie wrócić. On chce patrzeć w przyszłość, a tam majaczy przed nim inna zupełnie postać kobieca, niby obraz ze szkoły bizantyńskiej, nieodłączny od tła złotego, na które rzuciła ostre kontury ręka malarza. (C. d. n.)

SEN.

Usnąłem... Dusza cierpiąca boleśnie,
Leciała cicho w krainę zaświatów:
Spałem tak długo i widziałem we śnie
Mój dom rodzinny, pośród drzew i kwiatów.

O! nie wiadoma ta radość nikomu,
Jaką podówczas serce me wezbrało.
Tyś była panią wśród mojego domu...
Słońce się skryło, a mnie się zdawało,
Że słońce po to skryło się za chmurę,
Iż w obec ciebie było za ponure,
Że twej jasności tobie zazdrościło,
I że dla tego za chmurę się skryło...

Rumieniec szczęścia krasił lica twoje,
Radością błysły czarne oczy duże,
A wkoło kwitły lilje i powoje
A wkoło kwitły białe bzy i róże...
Tyś mi mówiła, że przy mnie i ze mną,
Pójdziesz przez życie z ufnością i wiarą,
Że w mej miłości — będziesz mi wzajemną,
Lecz to snem było, lecz to było marą!

Wiosenna burza szalała po niebie,
Biły pioruny, lśniły błyskawice,
A ja ramieniem otoczyłem ciebie,
Rozpromienione, czarowne źrenice
Oczu twych, w moje spoglądały oczy,
A tyle szczęścia w twych oczach świeciło,
Usta twe uśmiech zdobił tak uroczy,
Że gdyby wieki cierpieć trzeba było,
Cierpieć bez granic... piekielne cierpienia
Zniósłbym za chwilę takiego spojrzenia.

Bo czem boleści, męki i katusze,
Wobec chwil szczęścia, co rozświeca duszę,
Wziętemi z niebios promieńmi jasnemi,
Krzepią miłością, nadzieją i wiarą,
Czyż takie szczęście możebne na ziemi?
Moje?!... Snem było, urojoną marą!...

Plotki lwowskie.

— ... nie panie, za powtórzenie naszej rozmowy nie mogę się gniewać, gdyż w samem powtórzeniu jej jest już połowa przyznania się do winy. Zresztą obiecałeś pan poprawę i dotychczas jeszcze jakoś dotrzymujesz przyrzeczenia.

— Powiadasz pani: dotychczas? więc nie wierzysz w trwałość tego przyrzeczenia?

— Jeśli mam być szczerą, przyznaję, że nie. Jak pan sam przyznałeś, zanadto lubisz pieprzyk, byś się potrafił wstrzymać w stosownej chwili. W ogóle nie jestem zadowoloną z pana. I obrazek życia towarzyskiego Lwowa, jakkolwiek napisany z mojej inicjatywy, w zupełności mnie nie zadowalnia.

— I zarzuca mu pani?

— Zarzucam mu wiele rzeczy, a w pierwszym rzędzie skrajny pessymizm. Nie lubię tych młodych pessymistów, którzy z spenowatą twarzą i sarkazmem na ustach psują drugim zabawę, szepcąc im w ucho z uporem: „Gdzież tam, wy się nie bawicie, wy się nudzicie szalenie! Po co wmawiać w drugich i siebie, że to was bawi, gdy nuda straszliwa brzmi w tonie każdego głosu?“ O lubię, lubię nadzwyczaj te zimne figury, które zamiast pójść spać do domu, jak blade widma włóczą się wśród par rozbawionych, swą obecnością gasząc jedynie każdą iskierkę lepszego humoru, swym zimnym wzrokiem mrożąc każdy wybuch szczerszego śmiechu, a gdy już wszystkim popsują humor i zabawę, dowodzą głośno: „A widzicie, patrzcie, czy zabawa u nas jest możliwą?“ Jest możliwą, lecz bez was, zimne szczupaki, bez waszych oczów i humorów rybich! Idźcie spać lepiej i nie psujcie nam zabawy!

— A tom oberwał szczutka! I wdawaj się tu z paniami w rozmowę! Szast, prast i posiekanyś na sznycle! Lecz zwolna, zwolna łaskawa pani: krew rybia nieumie rzeczy brać tak gorączkowo. Więc o cóż chodzi właściwie? Chcesz mię pani przekonać, że się świetnie bawimy?

— Przynajmniej tak samo jak gdzieindziej.

— Naprzykład gdzie?

— Wszędzie.

— Czy w Warszawie i Krakowie?

— Wszak mówiłam: wszędzie.

— Pozwól mi pani pod tym względem mieć nieco odmienne zdanie... Tylko bez gorączki... Mogę służyć szklanką zimnej wody?

— Dziękuję. Czy mogę służyć szklanką gorącej?

— Dziękuję. Otóż muszę panią najpierw objaśnić — gdyż trudno, by panie o tem wiedziały — iż Lwów wśród miast polskich pod względem życia knajpiarskiego stoi na pierwszem miejscu. I to jest najgłówniejszym powodem, dla którego pod względem życia towarzyskiego stoimy tak nisko. Przyjęliśmy pod tym względem wiedeński zwyczaj, z tą jedynie modyfikacją, że gdy Wiedeńczyk zwykle z całą familją idzie wieczorem do piwiarni, nasi panowie małżonkowie sami co wieczór schodzą się przy restauracyjnym stole. Modyfikacja ta jednak nie z ich winy pochodzi, lecz wypływa ona z wrodzonego u nas szacunku i poważania dla kobiet, które nie pozwalają paniom uczęszczać do publicznych lokalów.

— Ale do rzeczy, do rzeczy.

— Właśnie zdążam najprościej. Tak samo życie „cukierniane“ i kawiarniane kwitnie u nas w najlepsze. Całe popołudnia przesiadują tam panowie małżonkowie, wspólnie debatując nad losami Europy. O której porze dnia wstąpić w te jasno oświetlone lokale, zawsze znajdzie zajęte wszystkie stoły i kanapki, tak jak przez cały wieczór trudno znaleźć wolne krzesło w przybytku króla Gambrinusa. Czyż wobec tego ludzie ci odczuwają potrzebę innego życia towarzyskiego i czy mogą prowadzić domy otwarte, gdy nigdy ich w domu nie ma?

— Nie przeczę temu i słyszałam już o tej wadzie Lwowa, jednak czy młodzież nie może mimo tego bywać w domach i jakoś budzić to życie?

— Łaskawa pani, trudno nam tam bywać, gdzie gospodarza prawie nigdy w domu nie ma. A zresztą, już od młodości uczono nas wstępować w ślady starszych...

— A tak!... Lecz czy Lwów jeden tylko tak upośledzony?

— Nie pani, tak „upośledzonem“, jak się pani wyraziłaś, jest obecnie całe społeczeństwo, lecz z miast polskich Lwów stanowczo najwięcej. W Krakowie naprzykład nie ma tych wieczornych posiedzeń Gambrinusowych, a mimo że śniadaniowe są nieporównanie żywsze od lwowskich, dla samej pory nie przeszkadzają życiu towarzyskiemu, które jak na obecne czasy kwitnie rzeczywiście zadowalniająco.

— A Warszawa?

— Warszawa przedewszystkiem jest miastem, gdy my jesteśmy prowincją. Warszawa jest małym Paryżem, gdy my jesteśmy wielkim Kulikowem. W Warszawie kwitnie dobrobyt, gdy u nas panuje bieda. Warszawa ma ludzi bogatych, gdy my o takich jedynie w książkach lub gazetach czytamy. My z Warszawą pod żadnym warunkiem równać się nie możemy, a pod względem życia towarzyskiego to już lepiej nie wspominać. Warszawa przedewszystkiem żyje, a nie w knajpie wegetuje. Lecz cóż w tem dziwnego? Dajcie nam tę monetę, to i my tak potrafimy! W dzisiejszych jednak stosunkach siedźmy cicho i nie przyrównujmy się wcale... — Lecz patrz pani, zabawa zaczyna wrzeć w najlepsze, nie pozostaje mi przeto nic lepszego, jak z mym „humorem rybim“ wynieść się do domu.

— Panie, ten ostatni pomysł pański wart dłuta i marmuru.

Plotkarz.

Korespondencja redakcji.

Wny W. Ros. w Tarnopolu.

Więc: Dobranoc! śpijcie spokojnie!
Słowik nuci jakoś rzewnie,
I ja zasnę. Zasnę? oj nie!

Oj nie! wiersz nie będzie drukowany. Może inna próba będzie szczęśliwsza.

Wna M. Wys. w Ost. Nie radziliśmy specjalnie pani, lecz w ogóle każdemu.

Pylades. Wiersz niebędzie drukowany.

Wny E. Biał. w Ost. Prosimy. Przyjmiemy z wdzięcznością.

Wny Leliwa pod Krakowem. Odpowiedź w zeszłym numerze. Jeszcze raz dziękujemy.

Wny J. J. Kenty. Na okładce.

„Drukarnia Polska“ ulica Jagiellońska l. 16.